

# Zdania na wypadek



KAROL MALISZEWSKI

## *Zdania na wypadek*

### *I. Góry, gorączka*

#### *Wysiadłem, usiadłem*

Uszedł ze mnie duch na jakąś godzinę  
i czułem w ręce bilet  
przez Leszno, Poznań, Konin;  
dopiero potem myśl, żeby coś wyjąć  
i przestać migotać, wpisywać w szybę,

Podróż, Literat

wszystko oddychało we mnie,  
byłem we wszystkim.  
Bolała od tego głowa i kolana,  
jakbym wędrował na kłęczkach  
po wiosennej grudzie, tłukł okna,  
a przedtem pał głowę  
rozblyskiem widoków (to bliskie  
konania), snów, napomknień.

Czyj sen jest większy  
w tym pokoleniu, i słyszę: czy  
napisałeś już o mojej  
książce i: kiedy wreszcie  
napiszesz —

a chuja napiszę.  
Wysiadłem z pociągu,  
bo mi się spodobały czyjeś usta w szybie,  
ruszały się.  
Nie mogłem znaleźć zeszytu.

## *Rocznik sześćdziesiąty grzebie w pa- pierach*

Otworzyły się szuflady pękły wysłużone plecaki  
ze starego worka na śpiwór (bo spało się gdzie

Przemijanie

bądź) wypadł kłęb włosów dawno pochowanej  
i stos karteluszek zapisanych  
serdecznym pismem z przełomu  
lat siedemdziesiątych osiemdziesiątych  
bez akapitów bez znaków przestankowych  
(bo nie chciało się przestać) by dać sobą  
świadcstwo nędzy pielgrzymstwa poniżenia

Rocznik sześćdziesiąty grzebie w papierach  
uczęszcza do poradni wychowawczo-zawodowej  
dla młodych literatów  
i już nie zaczyna zdania od więc.

## *Nie pytaj więcej kim czym*

„Pan był kiedyś poetą”  
nie mogłeś tego ująć prościej synku  
siedzący w pierwszej ławce od okna  
to prawda  
byłem kimś takim  
nie zdając sobie z tego sprawy  
paplałem trzy po trzy jak dziecko  
które nauczyło się mówić  
„pan był kiedyś poetą”  
to było dawno  
niewiele pamiętam pojedyncze słowa  
oderwane sytuacje  
liryczne telegramy zawiadamiające  
o konieczności przyjazdu w celu  
odebrania nagrody  
pieniężnej za zestaw słów  
„pan chyba był kiedyś poetą”  
widzę zamglone szyby pociągu  
który zatrzymał się w szczerym polu  
boję się podejść do okna  
żeby nie być podejrzanym  
o chęć napisania tzw. wiersza  
„bo ja coś o panu słyszałem”  
synku z pierwszej ławki od okna  
dobrze mi tu z wami  
i ciepło idzie od kaflowego pieca  
na którym plansza z pytaniami  
przypadków

nie pytaj więcej kim czym byłem

## *Stara Niemka*

Stara Niemka włóczy się po miasteczku  
z pustą torbą na zakupy

karta pokoju może się odwrócić

Poeta

Naród, Ojczyzna, Niemiec,  
Polak, Historia, Ptak

stara Niemka — ptak do lotu  
lepiej by nie stanął

ręce powykęcane głowa podana do przodu  
i już już odrywa się od ziemi  
która okazała się odzyskaną

odlot do ciepłych krajów  
za Łabą

niestety

reumatyzm skrzydeł

grób Heinricha  
na miejscowym cmentarzu

## *Dopisek po latach*

Stara Niemka umarła.  
Nie męczyła się zbyt długo.  
Nie wiem czy mam płakać,  
czy dalej ciągnąć tę notatkę

Chodzą słuchy, że była praprawnuczką Hölderlina  
że pisała wiersze, że to co my  
chłopaki z ulicy Piastów,  
braliśmy za klątwy  
rzucane na nasze usmarkane oblicza  
— było w rzeczywistości strzępami  
klasycznej poezji niemieckiej. Przeważał Goethe

Słowo, Poezja

Najpierw odjęto jej nogę;  
na prośbę anonimowego fundatora z Hamburga  
zachowano te jej cudowne skrzydła  
— poczęte w wyobraźni polskiego chłopaka,  
który w tej chwili mimo wielu starań  
nie może wykrztusić z siebie jednej łzy.  
Jest już bowiem mężczyzną, coś mu się porobiło  
ze łzami. Chyba chowa je gdzieś;  
czyżby do wewnętrznej kieszonki z zapiskami  
czekającymi tam cierpliwie  
na podniesienie

Łzy

## *Odkopcie go*

chciałbym strząsnąć robactwo  
z jego garnituru w prążki,  
podać mu rękę i powiedzieć: „wstań  
tato” — jak niegdyś, gdy wracał zalany  
w trupa  
i padał niedaleko naszych okien

Ojciec, Syn, Grób,  
Wspomnienia, Ciało

chciałbym go sobie przypomnieć  
z rozsypanych kości, z garsteczki prochu  
ulepić figurkę na zboczu  
góry, która go pochłania.

## *Drohobycz*

Na wzgórzach dzikie trześnie kwitną  
Drohobycz w dole. Nie,  
Nowa Ruda fosforyzuje w szkle dymów

Sucha morwa, którą po wielokroć  
przesadzał nieznany ogrodnik —  
mówię

— Wielkiej Sowy cień  
rozgałęziony jest jak moje serce

nowe serce

Gdy przyjadą Niemcy (w sezonie  
wycieczek) - - -  
powiem im to samo.

## *Warszawa*

Chodziłem po Warszawie, był mroźny poranek,  
już mówiono o wiosnie w wyższych sferach  
ptasich. Długo stałem na moście,  
lód drżał, był jak lawa, tramwaj

brzęczał uprzężą, warczał pudel  
na mnie: przybysza z prowincji —  
z miasteczka Drohobycz w gminie Nowa Ruda.

Chodziłem po Warszawie, ściskając rękopis,  
pierworodny zbiór wierszy  
zawinięty w gazetę.

## *Poeta. maszyna.*

Pisanie przepisywanie wysyłanie na adres  
redakcji skamlenie u drzwi wydawnictw  
ukrywanie się za godłem Harnaś albo Outsider  
otrzymywanie kwoty przekazu 5000 zł za całokształt  
dziękowanie za zaproszenia na sesje wieczory  
poranki podpisywanie listy obecności  
w tym pokoleniu obowiązkowe wołanie  
na puszczy albo „pieprzona komuna” co na jedno wychodzi  
a potem chowanie głowy pod stół bo

Warszawa, Poeta, Gość,  
Obcy, Błądzenie

Poeta, Słowo

na sali może być tajniak błaganie o stypendium  
ewentualnie jednorazową dotację na rzecz  
rozkwitu prężnego talentu wyganianie dzieci  
z pokoju bo tata skrobie POEZJĘ  
taka mała skrobanka na marginesie  
ostatnich siedmiu lat wspólnego pożycia  
z maszyną do pisania kupioną na spółkę  
z Maćkiem Chlebickim w Białymstoku  
na parę dni przed telewizyjnym wystąpieniem  
zwierzchnika si zbrojnych  
skoro świt.

## *Co do cholery (lata osiemdziesiąte)*

Kątem na Bródnie u dwóch dziewczyn  
z socjologii W dzień szedłem na cmentarz  
grzebać wśród nazwisk szukać ojca mojego  
ojca zmarł w 1914 na suchoty W nocy na Wschodni  
węszyć nasłuchiwać czy jeszcze bije serce narodu  
Biło zomo i ostry zapach krocza  
 prostytuterek trzeciej kategorii  
mieszał się z moją egzaltacją Tobały wylewały się  
z przechowalni aż na perony Staruszki dławiły się  
kaszą gryczaną sos pomidorowy ściekał im  
po brodach wszędzie sos pomidorowy tampony  
podpaski pieluszki nocniki podwiązane do  
plecaków I ta nagła czułość co zalewa ci  
gardło miłość do tego całego bajzlu  
Smród buchający z łachmanów żebraczki  
peweksowski zapaszek gogusiów powracających  
w panice z wakacji bo jakieś tam strajki  
Spali na swych wyperfumowanych żeglarskich workach  
synkowie a w ciemnym kącie na piętrze  
pieprzyły się zdrowo dwa długowłose cienie  
obwieszone koralikami udające się na pielgrzymkę  
do grobu Stachury Edwarda Napisy w klozecie  
zachęcały do wolnej miłości ale co do cholery  
co do cholery ze mną kim jestem  
spłodzony lecz niepocieszony (współlistotny ojcu?)  
na warszawskim bruku w mroku kim jestem  
i po co Wracalem nad ranem pamiętając  
że miałem coś ważnego do powiedzenia  
ludzkości światu narodowi naszemu  
który jest jak lawa wylewa się  
na ulicę Gęsta ślina w ustach  
na widok rozrzuconych nóg pod cienką kołdrą  
kropelka śluzu pojawia się znika czeka  
pochwa by pochwycić dłoń palec cokolwiek  
Któregoś dnia odszedłem padał śnieg  
tramwaje odprowadziły mnie za miasto  
szedłem szosą w stronę rodzinnego południa  
szeleściły w plecaku pamiątki młodości  
trochę zdjęć poźółkle ulotki mapa Masywu Śnieżnika

Warszawa, Miasto

i Gór Białskich Biblia Bursa  
dwa w kratkę bruliony.

## *Sens (Ostrołęka)*

*Piotrowi Matywieckiemu*

Obudziłem się na granicy województw.  
Zakopywano zwłoki sarny  
i dano mi to oglądać przez ramię. We śnie  
pisałem wiersze, nie oglądając się  
na D.Ś., M.G., na nikogo.  
Teraz, przebudzony, budziłem niesmak  
mieszając rzeczy, podnosząc sweter,  
rozrzucone gazety.  
Mówcie, co chcecie.  
Zastanówcie się, co mówicie.  
Dowolne nazwiska: kryją się w płytkich okopach sensu.

We śnie było lekko.  
Zaraz potem jest lepko, butelka  
po wódce na sąsiednim fotelu.  
Brudni ludzie wysiedli w Pultusku,  
ulewa chciała ich umyć, ale nie dała rady.  
Jeden z dyskutantów miał rację.  
Musiałem to przespać.  
I kartkę przewróciła ciepła ręka  
zza szyby, zza chmur podobnych do trumien.  
Bóg chyba jest. Jak promień.  
Tylko coś we mnie wyszło, w przerwie.  
Tamtędy leje się woda, mówi kierowca.

Sen

## *Góry, gorączka*

Widok gór  
ochłodził mnie, widziałem  
rodzinę: żona, babka  
i ten krzywy Pradziad porośnięty  
ciupagami modrzewi; dzieci moje  
rozsypane od zmierzchu  
do zmierzchu, całe w kołpakach  
prześwitów, tych drobnych  
ośnień danych dążącemu  
donikąd —

byłem już coraz  
bliżej, patrzyłem na obraz  
rozedrgany pędem  
jak stawał się doskonale,  
nie wiadomo jak

Góry, Arkadia

uspokojony i pogodzony  
z najwyższym słońcem  
w chmurach, z obłym stokiem  
w lustrze burego jeziora,  
z jakimkolwiek  
sobą

## *Okolice Barda (Wartha)*

*Krzyżkowi Śliwce i PKP*

Rilke spadłby z tej góry  
jak zwykły śmiertelnik —  
pokładł się rocznik 27:  
świerki, sosny, modrzewie,  
podmuch był krótki (gęsty)

Ostatni miesiąc do emerytury,  
w dystynkcje leśnika wplątuje się śmierć,  
brzozy gorzkie w widoku,  
las cierpki w dotyku —  
tak wiele obiecywał za młodu

Dymią góry, kopcą się doliny,  
był pożar w deszczu,  
sadzonki w szalasię już nas nie dotyczą,  
zawiodła Matka Boska, zawiódł krzyż dębowy —  
ogłosił upadłość ramion w lesie.

## *Według legendy*

Według legendy umierałem z zachwytem  
z włosiem rozwianym, kiedy pośród palby  
mauzer zastygł, dłoń pełzła po murze,  
gdzie dziś bluszcz pięciopalczasty  
i pamiątkowy — „jakby poeta coś wyrzec  
chciał w tym ostatnim słowie”  
twierdzi posłowie, hagiografia szczegółów

w wieku 23 lat  
zdobył na wrogu  
kilkadziesiąt wierszy i języka  
schwytał w ciemności, który  
jednakowoż milczał  
jak grób



# *Z pamiętnika powołanych na wiosnę*

Obnażać się w pokoju pełnym młodych  
mężczyzn (z tego samego rocznika  
i młodszych) powołanych na wiosnę  
1988; pośladki, uda, zwisające genitalia —  
szybkim ruchem wciągana piżama,  
by nie wydać się śmiesznym; dziennik,  
następnie film fabularny za zgodą  
dyżurnego oficera; sytuacja w kraju napięta,  
ale chyba nas nie użyją w razie czego;  
już widzę siebie wjeżdżającego na skocie  
do rodzinnego miasteczka;  
a po drugiej stronie ekranu  
nasze żony robią na drutach, dzieci  
krztuszą się ampicyliną, wreszcie zasypiają.

Żołnierz, Obcy

Myć się w łaźni pełnej młodych  
mężczyzn (z tego samego rocznika  
i młodszych), wkładać rękę w krocze  
i mydlić w obecności ich wszystkich —  
w strumieniu gorącej wody z zardzewiałego  
sitka spod sufitu stać się jednym z nich  
nie do odróżnienia

Zbudzić się w pokoju pełnym  
zamętu /alaaaarm!/i wciąż jeszcze  
myśleć mój kraj

## *Nawet tu, w wojsku*

Nawet tu w wojsku  
chodzą za mną wiersze jak psy  
liżą ręce proszą o więcej  
mięsa kości krwi  
skaczą do gardła piją ślinę  
a potem uspokajają się  
lepka biała nić wiąże je ze mną  
niewidzialna

i co mam pisać  
wszystko już było List przyjął skargę  
i zaniósł żonie wyznanie  
najszczerze

o pokoleniu? o straconych latach?  
że uczą strzelać w smutną twarz  
z tektury? że mówiąc  
wszo gnido do gnoju  
uczą pokory pojednania  
z piachem który jest wieczny  
który czeka na nas

Żołnierz, Przemoc, Pokora,  
Przemijanie

...I to już było  
przerabiali chłopcy  
z poprzednich pokoleń  
i następni będą wciąż po tych samych  
tluc się bezdrożach.

## *Inwazja*

Liżą mnie niewidzialne języki,  
te drobne ukłucia świadczą o zarazie.  
Rozsiada się statecznie flotylla dmuchawców  
i w skórze zakłada kolonie karne.

Plotkuje mną powietrze.  
wypluwają wyspy i robią sobie rzeczną przystań,  
dają się łatwo rozsmarowywać na kromce  
z kosza, pod grochówkę z menażki  
w trzecim dniu poligonu.  
Czwartego dnia będą jedli Podsiadłę,  
to ich naprawdę wzmocni.

Poeta, Żołnierz, Jedzenie,  
Ofiara

Szczątki dawnych poetów, na widok których  
panienki sikaly, płaczą się z dźwiękami  
przebojów puszcanych z głośników na wzgórzu.  
Disco polo wchodzi łatwo, nic nie  
boląc, jak świeca. Poeta nie.

Poeta

Poeta się pierdoli, rwie, stwarza  
problemy językowe: podmienia  
znaczenia, podmywa dawno wykrystalizowane  
pojęcia, przestawia minerały akcentów  
w glebie i na półkach zbieraczy,  
którzy właśnie tracą cierpliwość  
i mówią głośno, przez szybę i folię,  
przez celofan do kwiatów: chuj,  
aż biedne chylą swe potulne główki.

Lepiej by wam było polecieć w kosmos.  
Zacząć nowe życie na Marsie,  
a nie na przedramieniu. Za chwilę  
sięgnę po szmatę w wiadrze i środki  
czystości. Zegnę was w łokciu i wypluję.

Będziemy wspominać zgłoskowcem, w tercynie.

## *Kartka z Broumowa albo ćwiczenia w ironii*

Broumowskie Cyganiątka na czołgu w kwiatki  
na którym ktoś sprajem POLSKA  
napisał — jeszcze kilka godzin  
w tym czeskim miasteczku

kilka godzin do zamknięcia granicy  
Darek spotkany na szlaku  
pojechał do Pragi nie patrząc  
na krzywe spojrzenia urzędników  
od ruchu ludności a ja się waham  
i idę w końcu w stronę  
ciemniejszej na horyzoncie Gwiazdy

znajduję rozdartą piorunem kapliczkę  
gdzie modłę się z cicha  
lecz drugą połówką tzw. duszy  
już układam limeryk à la Joyce  
i myślę o stosunku z napotkaną Czeszką  
której wata wystaje skądś tam  
i to mnie odstręcza Zresztą  
ja się nie podobam kobietom  
w chmury zaglądam jak nikt jeszcze  
przede mną a schodzę ze ścian  
z Broumowskich Ścian  
żółtym szlakiem do Hony  
skąd za 9 koron jadę do Nachodu  
i tyle, byle

byle do przodu

## *Ręka natrafia na radio*

Ręka natrafia na radio i łapie Cohena  
jest północ w styczniu środek Europy  
przez środek serca biegnie nowa linia  
kolei losu Trzaska mróz obcasami  
Otwieram się na zachód  
zamykam się na wschód Nic co z południa  
nie jest mi obce Kolejny odcinek ironicznej  
powieści przerwany w połowie  
chrząknięciem spikera I po co ta ironia  
mówię do człowieczka który pełźnie w lustrze  
Jest to podmiot liryczny uciekł  
z podręczników i wygląda na zadowolonego  
Tam groziło mu rozstrzelanie przez analizę  
Tutaj jest sobą a właściwie mną  
pozwalam mu na wszystko  
w granicach prawa i rozsądku  
Prawem poety jest być szalonym  
prawem podmiotu jest być posłusznym  
toteż mój podmiot jest nieco stuknięty  
Wybaczenie nie stać go na razie na więcej  
i nie powiesi się jeszcze tej nocy  
Przetrwa do rana i wyjdzie na mróz  
tam go dobiją szyderczym spojrzeniem  
Na razie wygląda na zadowolonego  
nie przeczuwa biedak swej publicznej  
śmierci Szufłada do której go  
za chwilę wtrąć podoba mu się

Poezja, Szkoła

Poeta, Szaleństwo

już znalazł ołówek i kartkę z notesu.  
„Ręka natrafia na tomik Cendrarsa  
i łapie się na tym że jest już pod Wozem  
przycięta równo powyżej nadgarstka  
koślawo zwisa z nieba bo lepiej nie może”.

## *Będę przebywał jeszcze wtedy w Polsce*

Przeczuwam wiersz który napiszę  
w czterdziestym trzecim roku życia  
już jego korzenie niesłyszalne we mnie  
rozrastają się w mózgu tkanką  
poematu Będę przebywał jeszcze wtedy  
w Polsce z orłem w koronie prezydentem  
dwuizbowym sejmem Będę w małym miasteczku  
które kiedyś czeskie niemieckie  
teraz polskie poetyckie  
obrabiane słowem jak *dyjament* lśni  
I Polska będzie rozbita na pięć  
sześć wolnych republik  
ja wśród śląskich poetów będę niczym  
Anioł i żona mnie opuści  
z kimś normalnym kto potrafi wyżywić rodzinę  
i ma w sobie czułość nie zmarnowaną  
przez dziesiątki wierszy a ja będę wtedy  
jeszcze mniejszy bo chory na chorobę  
nie oznakowaną kryptonimem chorobę  
która zbawi świat cywilizację zetrze  
i zacznie sposobić nowego człowieka  
Będę przebywał jeszcze wtedy w Polsce  
wiersze głosząc na wiecach w przejściach  
podziemnych na wysypiskach śmieci  
w schroniskach dla zwierząt  
lecz klatki będą zapełnione ludźmi  
Będę przebywał jeszcze wtedy w Polsce.

Polska, Poeta

## *Lot*

*Eli i Maćkowi Chlebickim*

Absolwent filozofii. Zostałem  
światlicowym w szkole  
podstawowej (Ziemia  
Kłodzka). Oto losy  
człowiecze. Kadra jest młoda, dzieci  
krzyczą. Nie wiem, czy mój  
wystudiowany stoicyzm podola.  
Dzisiaj rozmawiałem z nimi  
(IV b) o ziemi, matce  
naszej — ile kto ma hektarów.

Filozof, Nauczyciel

Nie taili. Potem wspomniałem  
o trudzie rolnika, ale nie wiedzieli,  
o co mi chodzi. Dojeżdżająca młodzież  
zbyt często (pod pretekstem  
wyjścia do ubikacji) kieruje swe  
kroki do pobliskiej lodziarni. Pan  
dyrektor ze swego wysokiego okna  
marszczy brew i grozi palcem. Salmonella,  
sceptycyzm i brak kontaktu z prasą  
literacką. Patrzę na park,  
gdzie stadko młodych łabędzi  
wzbija się do lotu.  
Mnie też o nic innego  
kiedyś nie chodziło.

Upadek

## *Wysiadłem, usiadłem*

Uszedł ze mnie duch na jakąś godzinę  
i czułem w ręce bilet  
przez Leszno, Poznań, Konin;  
dopiero potem myśl, żeby coś wyjąć  
i przestać migotać, wpisywać w szybę,

Podróż, Literat

wszystko oddychało we mnie,  
byłem we wszystkim.  
Bolała od tego głowa i kolana,  
jakbym wędrował na kłęczkach  
po wiosennej grudzie, thukł okna,  
a przedtem pał głowę  
rozblyskiem widoków (to bliskie  
konania), snów, napomknień.

Czyj sen jest większy  
w tym pokoleniu, i słyszę: czy  
napisałeś już o mojej  
książce i: kiedy wreszcie  
napiszesz —

a chują napiszę.  
Wysiadłem z pociągu,  
bo mi się spodobały czyjeś usta w szybie,  
ruszały się.  
Nie mogłem znaleźć zeszytu.

## *Apel poległych*

*J. K*

Pisz teraz, bo masz dobre dni;  
i następni zmarli popierają cię,  
pchają wyżej, mówiąc —

jestes tego wart, ladnie opisujesz  
nasze okna,  
nasze rece na parapecie,  
slad po nas na szybie.

Odchodzimy, kiedy chcemy odejsc,  
nikt nas nie wybieral,  
nie wierz w przeznaczenie;  
już następnego dnia  
ktoś szybko zedrze tapetę w słowiki,  
zamuraje okno.  
zrobi łazienkę w stolowym.

Przed zmrokiem w samym sercu zmierzchu  
otwiera się mała przepaść,  
wywija się jak robak z dzioba  
języczek śmierci,  
trel lekki swawolny.

Otchłań

## *Poeci doskonale wierni*

*Adamowi Ziemianninowi*

Poeci  
doskonale wierni

przyrośnięci do drewnianej zabawki  
kołatki  
wystruganej w dzieciństwie  
przez cieślę z sąsiedztwa  
Józefa jak mu tam

przyssani  
do matczynej piersi dziewczyny  
poznanej raz na zawsze  
wczesną wiosną 1981 roku

(chodzić na palcach  
nie ruszać czulej struny  
nie dotykać wygasłego wulkanu  
nie deptać  
wzgórza porośniętego czułą tymotką)

oni coś jeszcze napiszą  
w 1997 usłyszycie o nich  
zmartwychwstanie poematu  
będzie ogłoszone  
śmierć będzie wystawiona  
na próbę męskiego rymu  
miłość niestety nie  
znajdzie swojego wyrazu

poeci  
doskonale wierni

otworzą oczy  
prosto w przepaść

w promieniach skroplonej zorzy  
kartki papieru  
wiatr będzie włączył

## *Sierpień*

W południe kogut rozgdał się jak kura,  
pan z kijem podjął przerwana rozmowę,  
wisiały w powietrzu zwiłokrotnione języki  
— za plecami berberys, pogańskie lusterko,

bezkarnie po żytach błędziły obłoki  
w konkursie kto wyżej — wygrała wieżyczka  
na pobliskiej górze,

dalej Sarny, Ścinawka, Góra Wszystkich Świętych,  
żyć, umierać, pisać,  
czytać na przystanku „przepraszam za wszystko”.

Byłem synem wiatru, jestem córką deszczu,  
po czterdzieście powietrze uchodzi,  
zagęszcza się gdzie indziej.

Błysk wycina Goethego  
w obłoku za wzgórzem.

## *II. Liryka lokalna*

### *W górę rzeki*

Kamieniem się staje dotykane próchno  
Świeci we mgle wypalany trawnik  
wydawało mi się że znam mowę ptaków  
ale w tym lesie jakoś wszyscy zmiłkli  
odjęło im mowę dodało mi skrzydeł  
wyszło z płomienia płomień wił się w dłoniach  
bił skrzydłami o ściany wiersza  
zamierał na ustach jak kwiat kasztanowca  
poobłoczna piana na gałązkach słów  
„już po mnie” mówiło się bo tak było modnie  
przede mną góra do zdobycia  
mgła do rozproszenia miłość do zabicia  
wypełzały z tej czaszki jaszczurki przeznaczeń  
po równo obdarowani odchodziliśmy  
do swych kruchych zajęć  
pamiętam chciałeś być księdzem

Młodość, Dorosłość,  
Marzenie, Upadek

teraz się męczysz na odległej plebanii  
chciałem być tym który ucieka  
co to ma znaczyć pytałeś  
właśnie chciałem znaczyć tyle co hieroglif  
metafora gnoma być i nie być  
znikać wymigiwać pysznić się istnieniem  
a co Bóg na to pytałeś  
Bóg wiele wybaczy i przepuści przez palce  
takim jak ja  
są to boskie eksperymenta eskapady ekstrema  
musimy być na przekór płynąć w górę rzeki

należało pragnąć goręcej należało goręcej pragnąć  
należało

## *Ludzie po drugiej stronie*

Ludzie po drugiej stronie ulicy,  
gdy mi przywożą węgiel  
i podnosi się mgła,

z zapartym tchem śledzący  
manewry multikara.  
Wreszcie wpasowuje się  
zmarzniętą dupką w secesyjną bramę,  
by wysrać tonę lub dwie  
na środku korytarza.

Taki jeden liczący na miał  
czai się z workiem.  
Niemowa kręcący głową,  
przekonany, że gość urwie lustro  
na gzymsie, ale jednak nie.

Starsza pani w filcowych botkach  
z opieki społecznej  
metalicznym głosem dworcowej szczekaczki  
coś mu tam oznajmia,

a mnie pyta, kiedy się to wszystko skończy.  
Wszystko to się dawno skończyło,  
teraz żyjemy w kawałkach wszystkiego,  
w bryłach. Nie chce mi wierzyć.

Wiara

## *Albo albo*

Albo gonić skurwysyna, za  
przeproszeniem, co uciekł  
obronie, zrobić go na szaro  
i dobrze wrzucić  
chłopakom. Drzeć się jak opętany  
po tym голу, a potem chodzić  
po górach zachrypnięty



i po kolędzie (za kolesia,  
który się oberwał) też.

Albo jeździć rowerem po dziurawych  
mostach, pisać wiersze,  
palić papiery po zmarłym  
dziadku i zobaczyć to  
niesamowite zdjęcie Chruszczowa,  
a to wujek Edek. Nosić dzieciaka  
i odwzajemniać jego przytulanie,  
poklepywać żonę po następnym  
brzuchu. Kochać się z tym brzuchem.  
Wszystko.

## *Jesteśmy*

Jeszcze lokówka ciepła, rozrzucona bielizna,  
niewyłączone radio mówi,  
że Okocim sześćdziesiąt. Stan wód  
i uczuć, jak to w lutym.  
Nadgryziona bułka, pomarszczony  
dywan, okno mieni się nagłym  
słońcem. Byłaś tu przed chwilą,  
teraz jesteś w pracy.

Co uchylałaś, zostanie uchylone.  
We mnie mieni się przestrzeń,  
wirują: śluz, ślina, sine  
krople z sutków. To się chyba nazywa uśmiech losu.  
Pojawił się wreszcie na twarzy, prysnął w okulary.  
I zapach, smak tego, co się dzieje.  
Jak młode zboże rozgryzane wolno.  
Szum wokół nas; z gołębi, obłoków,  
z płatków sadzy i skóry. Jesteśmy

jak niecierpliwe pukanie dzieci,  
odwołane lekcje nieznośnej gramatyki.

## *Jak księżyc*

Znów krew w misce. Kiedy minął miesiąc?  
Rozpięta bielizna kołysze się, koi mnie  
widok muru z wyjętą znów cegłą.  
Biaława kość świtu, długo ją ssały  
bezdolne kundle, tłucze się w zaułku —  
co stąd, a co nie stąd,  
jaki świat opiewać? Zerkać  
na zegarek, patrzeć na termometr,  
kpić z tutejszych chmur, ruin,  
brzóz i kasztanów. Rzadko  
skrzydło wlatuje: wzgardliwe  
wzruszenie ramion, rozgrzewa powietrze

Księżyc, Kobieta, Krew,  
Czas

regularne słońce; panika w oczach... jak-się-życ;  
i znów krew, szybki oddech  
paruje nad miastem, mgłą z niedomówień,  
ze wspólnych ust.

## *I aż do bólu. Ciemność*

Poczekalnia pełna głosów  
głosownia nastawia języka  
wyobraźnia sprawdza bilety słów a konduktor  
jest wierszem Benna pt. „Składnia”  
czytany przedwczoraj Otarty o mur do krwi  
stoję za chlebem drugorzędny poeta  
rozstrzelany drukiem pszenny czy żytni Nie wiem  
Polsko jesteś dziwna te głosy każą mi Ciebie  
kochać ze wszystkich stron Wzgórza  
w jaśminach zapach poranka Przeskakuję  
z wiersza na wiersz tak się nie robi ja wiem  
Ze swojego wiersza na wiersz kolegi i pytam  
czy jestem zepsuty jak mówią do rdzenia  
do szpiku zwątpienia do ostatniego słowa  
które trąci w kręgosłup i runę  
(o poczekalnio pełna głosów!) w szum wodospadu  
w szelest węża na ścieżce A to tylko mój  
syn nienarodzony wypłtuje się ze ścieżek  
pościeli sunie przez poduszkę jak żuk  
trącąc bosą stopą strunę napiętego  
czuwania i aż do bólu ciemność jego krzyk świeca  
szukająca płomienia

## *Napełnili przydeptali*

(z cyklu „Noworudzkie noce”)

Zatrzymana kropla  
nim konieczność  
zaklnie ją w mętne świedldo  
bursztynu albo w wiersz  
nim znajdzie się w muzeum  
oprawiona w srebro  
opatrzona komentarzem  
wchodzę w tę kroplę  
z całym dobytkiem inwentarzem  
dzieci idą za mną żona  
stoły krzesła tapczany  
półki z książkami  
niosę na rękę najmłodszego dzieciaka  
jego krzykiem nabrzmiewa błona  
zatrzymanej kropli  
aż pęknie  
a my wylejemy się na bruk

jak ropa i osocze  
znowu bez mieszkania  
i poczucia czasu

a on krzyczy  
bo musi bo w poprzednim  
pokoleniu zaliczył komorę  
gazową i wkładali mu  
do odbytu rozżarzone stopy  
metali szlachetnych  
szlachetni panowie  
Schlapke Braun Wolff  
kto mówi o zbrodni  
chodziło o rozwój nauki  
a potem siedmioletnią  
wiecznie otwartą buzię  
napęlnili igliwem i piaskiem  
przydeptali

## *Podobna trasa*

Było jak wtedy, gdy jechałem na pogrzeb wujka  
Adama do Makowa i wieniec telepał się w bagażniku.  
Październik rześki, wyrazisty.

Podobna trasa. Favoritka mruczała czule,  
wpadając z wiatrem w głębokie doliny;  
jechałem sam i czułem się potrzebnym  
ogniwem w łańcuchu wieńców, ciał  
i trumien suwanych do przodu.

(Chciałbym widzieć te trumny  
z samego początku.  
Właściwie nieraz je widzę.  
Czemu, głupi, biegasz  
w nocy po mieszkaniu —  
pytają potem.

Tak jakoś się zrywam).

## *Liryka lokalna*

Ścięty w polu stary sad,  
czarne pieńki w ustach krajobrazu;  
rumian zakwitł (jeszcze raz),  
błędny ognik ciepłych listopadów.

W Wambierzycach cztery dzwony  
złożone do grobu; głuche stoją  
w szczyrim... Uderzam kamieniem,  
syn poprawia z drugiej;

Dźwięk

zapomnianym imieniem,  
chylkiem, miedzą, wzgórzem  
przeciska się jęk.  
„Idźmy. Kogoś boli”.

## *Wstyd. Miasteczko górnicze czeka swego końca*

W dniu, w którym otrzymałem zaproszenie  
do wzięcia udziału w dyskusji o przemocy, razy  
sypały się gęsto w wielu szkołach świata.  
Ojciec Łukasza C., zajrzawszy do  
podsuwanego przeze mnie dziennika,  
dopisał się do długiego szeregu  
wkurwionych ojców. Chłopak smarkał krwią.  
Ja cię chyba zabiję. Dość mam tego wstydu.  
Dwa lata temu matka Łukasza C. musiała  
wzywać pogotowie. Czuję ból w całym  
ciele, podskórne dzieciństwo.  
Rozbieraj się. Ale za co. Rozbieraj się,  
ty już wiesz za co.

Nie wiem do dziś. A kiedy na wuefie  
Rafał D. kryje się po kątach  
i nie chce wyjść z szatni, wiem, że dziś znowu  
przyniósł wytatuowaną na skórze mapę  
niedoszłego powiatu. Jego ojciec krzyczał  
na zebraniu, jesteśmy prowincją,  
będziemy jeszcze większą. W prowincjach  
ból mieszka strach. Ja cię chyba zabiję,  
dość mam tego wstydu. A kopalnię i tak  
zamknęli. „Przemoc jest tam, gdzie nie ma Sensu”.

Paweł A. nie chce się przyznać. Wreszcie  
wybucha płaczem. Tak, robi to codziennie.  
Matka musi klękać, a potem pełźnie  
po podłodze. Ojciec każe mu patrzeć,  
jest ciągle pijany. Paweł moczy się w nocy,  
ma kłopoty z nauką. Szkolny pedagog triumfuje,  
teoria konweniuje mu z przypadkiem. Śnieg,  
śnieg na te rany. W kwietniu? Cichy,  
załękniony śnieg. Pójdziemy go deptać,  
chłopaki. A jutro w kosza z siódemką.  
Dopierdolimy im. Jak nie tak, to inaczej.  
Jacek F. wie, że ma faulować.

Marcin B. mówi coś o egzaltacji.  
On jest nowy. Będzie uczył wosu.

Przemoc, Dziecko,  
Dzieciństwo, Wspomnienia

## *Przez Słupiec płynie rzeka Dzik*

Przez Słupiec płynie rzeka Dzik  
przez moje serce jeszcze dziksza  
bardziej brudna Osad lśni  
w wierszach W ustach dym  
z hałdy nad miastem  
Daj mi znak może kaszlnij  
zrozumiem że cię tu tytko  
ta jabłoń trzyma Dziadek  
ją sadził w kącie podwórza

szczaw (co porasta stromą stronę  
wzgórza) znika w pyskach koni  
pasących się z namysłem  
i tną gzy Chodzi po opłotkach  
cień chmury rozdartej jak ty  
albo schizofrenik Następny człowiek umarł  
pogoda się nie zmieni Weź gałąź  
sosnową i połóż na ranę.

## *Kościół w Drogostawiu*

widziany przed odlotem  
Rozalii Linke, Marii Sztorch,  
skłóconych sąsiadek,  
które pogodził cios  
niewidzialnej włóczni —  
anioł się uwijał za dwóch,  
las pod oknem niemiał i głuchł;

widziały czerwony, stromy dach,  
z bliznami okien uniesionych jak brwi,  
odlatywała od korpusu jak głowa  
sygnaturka drżąca, nerwowa;  
coś było z powietrzem nie tak,  
dawany i powstrzymywany znak,  
nie czuły w sobie plusku krwi,  
nigdy nie były na takiej mszy.

Co chcesz powiedzieć,  
wykrztuś teraz —  
z księgi doliny robi się książeczka  
szybko wkładana do kieszeni płaszcza;  
i ten inicjał, pokrętna litera  
z czerwonych cegieł. Kościół w Drogostawiu  
widziany z wysoka.

# Październik

Cóż, bez tej lipy niebo  
byłoby bezradne jak syrena na skraju  
złomowiska, na rozbieranym wiadukcie  
śpiew lokomotywy.

Księżyc w serii znaczków na niebie —  
ząbkowane Haiti,  
rozwany seks małwy; i głos:  
„nie jesteś poetą krajobrazu, wypierdalaj”.

I coś się ze strumieniem oddala, oddala  
sens i przybywa z daleka:  
stanąłem u ujścia, rzeka  
skojarzeń ma cofnięte źródła.

Wypłynąć jeszcze tej nocy  
z tornistrem pełnym książek,  
na zbutwiałej tratwie wić mały ból  
języka, który chciałby lizać

szron na różach, pokrywach śmietnika.

Rzeka

# Ciepły grudzień

*„jastrząb kwilił, co rozuścierało psy.  
krzesło w rzece. kry”.*

Tu szedłem, a tam dosłownie  
leżałem pod brukiem, pod pianą liści  
bitą na asfalcie: oddech ziemi  
strofował mnie, naprowadzał —  
zaczynały się schody, korytarze.

Tak się leży, tak układa,  
wyrównuje oddechy ze wszech stron —  
w sobie. Tak się widzi kroki  
od spodu, przeczuwa podeszwy; podejrzany  
wiatr. W zajezdni dużo flag.

Trochę szedłem, ale coraz bardziej  
obraz zachodził w głąb. Zachodziłem,  
zaszedłem, stoję nad otwartą  
myślą: w notatniku zaciskał się  
rząd, gwar brył. I sny.

Kręto, przestrzennie, lustrzanie.

Ani i Jurkowi

\*\*\*

Jak igła do zszywania owiec  
łśni w szronie wieża kościoła w Głuszycy

i są jagnięta na wzgórzach  
zziębnięte, zdziwione.

Więc to ty jesteś, świecie.  
o którym tyle szeptano we krwi.

I trzeba skubać to szare, szkliste.  
Białe strumykami w dół, będzie pluskać.

Czarne, okopcone sunie  
po wiadukcie. Koń przejechał.

Skąd wiem, że koń? Każdy widzi  
dwukólkę, bat, parujący asfalt.

## *Zimny styczeń*

*Kasi i Jarkowi*

I otrząsną perlistym śmiechem  
szadź z opłotków; ja nie wiem,  
kto te dzieci robił,  
i w jakiej pokorze. Są

na wzgórkach: między parowy  
wpada krzyk nerwowy,  
roztrzęsiona sanna. Z drogi, z drogi.  
Zbocza łśnią jak śledzie.

Chcą połamać nogi  
przechodnia, co zatrzymał chwilę:  
hałdę, rzekę; w pomarszczony obłok  
ciężko kasztan wchodzi, rozsypując obrok.

Wozy wypełnione węglem  
suną w głąb doliny.  
Pęka serce mrozu  
nad kamieniołomem: zgrzyt stalowej liny.

## *Kwaśny luty*

*Oldze i Romkowi*

Gdy nie dają szans rozbudzone dzieci;  
albo to jest najważniejsza szansa.

Zapał, wcześniej zapał;  
palę arkuszami zeszłorocznych ocen.  
Jeszcze wcześniej uderzenia, trzask —  
pojemniki na śmieci opróżniane w śnieg.

Kto żyw w nieznannej ciemności  
przeszukuje teren Martwej  
i przyległych; natkną się na psa czy nie...  
Popiół, wszędzie popiół,  
rudoszary ślad po wcześniejszych,  
teraz dumnych ze swego pióropusza.

Nad dachami wpada w poślizg wiatr  
jak cuchnący oddech chorego olbrzymia;  
otrzepuję się z sierści, ciemność trwa —  
a właściwie trawi resztki. Potem blask.

\*\*\*

Bóbr wzbiera. Mijam go po drodze.  
I on mnie mija.

Rzeka

Ileż podmytych kurników,  
upadłych płotów z wikliny!

Bieda, Rodzina, Współpraca

I nie masz nikogo, który by opisał  
brudne dzieci wpychające fotel

w żuka i konia bez głowy.  
Rodzina się przenosi bliżej biedaszybów.

Zima nie ma końca.

## *Piosenka z końca lutego*

Czytanka świata otworzyła się tu  
na obrazkach z zimy  
i pan nauczyciel zza chmur, zza brzóz  
wyjaśnia wszystkim, co my tu robimy.

Zima

Widzicie, dzieci, poranek lutowy  
w pewnej części Sudetów Środkowych,  
na krańcach horyzontu gorzki róż  
przechodzi w śliwkowy, i staje się już

coś nietutejszego: wrastają w szadź  
lzy Matki Boskiej lub kogoś takiego;  
pejs starozakonnego, kiel ziemniaka  
gdzieś w kącie kuchni nieba —

tyle o księżycu. Z prawej krzyże cmentarza  
i główkę krokusa wynieść się odważa  
na światło, mróz, lodowe pęknięcia.



Dzięki, światło, za światłość —  
to głoska różnicy,  
ale nam pozwala wychynąć z piwnicy.

\*\*\*

Wspiął się i patrzy w bystrza Woliborki  
pies wyrzucony wcześniej z samochodu —  
czy widzi twarze, co przestały kochać,  
może przyszłość świata, podkulony ogon —

samotny na wietrze, zjeżony,  
przekrwiony jak oko,  
którym widzi nurt —

bo jego rzeczy zostały pod wodą,  
miał tam dokumenty,  
smyczkę i kaganiec;  
rzeka robi zdjęcia i podaje dalej —

wścieka się na pianę,  
gryzie łańcuch brzegu.

\*

To jest wiosna,  
gdyby ktoś nie wiedział;  
coraz więcej psów  
wpatrzonych w ciemną wodę.

## Oda

*Mariuszowi Grzebalskiemu*

Psy wskakiwały na mur, liżąc  
twoje ślady; liście podrygiwały w tańcu;  
rzeczka w Sudetach jak Potomak w marcu;  
stygnące stygmatyczne znaki  
na pełzających zboczach —  
smutne ogniska, przy których ludzie  
z opuszczonymi głowami  
na krawędzi obłoków. Wiatr wiał,  
ale słyhać było niechęć  
i zrządzenie losu;  
stało, co się miało ruszać,  
co się kiedyś ruszało  
w dzieciństwie, śniło

Psy wskakiwały na mur, liżąc  
twoje ślady

Pies, Bezdomność, Rzeka

Wiatr, Los, Przemijanie,  
Dzieciństwo

# *Jak u nas w południe*

*Zygmuntowi Krukowskiemu*

Pukają do drzwi  
krzyczą przez kruche literki  
otwórz się odłóż  
to co chciałeś wypowiedzieć na marne  
nie wracaj do tych samych słów

odnawiaj się chłopcze  
ta ścieżka zachęca  
wysoka trawa czyha  
hałda cmentarz zasypuje cicho

świadkowie Jehowy  
nadchodzą z Miedzianki

sztuczne kwiaty w majolice  
a Jezus jak Nike  
bez oka  
bez jednego skrzydła

bo prawda z braku się bierze  
prawda bezskrzydła  
ślepa

pukają do drzwi  
szarpia za sznur  
który nie dorósł do pętli  
pokazują flachę pęto kielbasy  
chcą ode mnie więcej

## *List czytelnika z Wałbrzyskiego*

„Na tyle listów chciałem odpowiedzieć  
grzecznie. Trzydzieści siedem lat byłem  
miły. Szkoda, że to się skończyło.  
Trudno to nazwać transgresją.

*Grzeczność*

Kupa gnoju, którą chciałem toczyć  
w jakiejś formie, np. kuli,  
okazała się za wielka.

Po prostu”.

## *Bez światła*

Są odpływy światła, psują się baterie,  
siada akumulator w starym szewrolecie,

gasną jarzeniówki, zawijas neonu  
wylamuje szereg —

i znów chwila zamknięcia dopływu,  
łapiemy powietrze, przeskakuje iskra  
ze stryja na tego niżej na zdjęciu  
w parafii. Nie martw się, siostrzo,

poznacie go po bielmie  
łamiącym się na widok, na blask.  
Przymrużcie już oczy, o tak.

Wiertarki w ogrodzie, silniki w piwnicy  
ściągną od nas z góry najwięcej energii.  
Parujemy niewytarci, chyba utrwaleni.

## *Prosta historia*

Do tyłu kościołów wchodziłem  
daremnie, gipsowe figurki śmiały się ze mnie...  
Pozostawione dzieci płakały.  
resztki Boga trzeba było wyskrobywać  
z ich zabłoconych kurtek,  
ojciec buszował w knajpach, nawiedzał dziwki,  
świat oddalał się jak chybotliwy wagonik  
bez konduktora, bez maszynisty;

potem takie same dzieci spotykałem  
w szkołach, uczyłem je poprawnej pisowni  
własnych nazwisk, wpatrywały się we mnie  
jak w maszynistę, wybierałem z nich  
najlepsze do składu na mecz  
z sąsiednią biedą i kiedy obrzucały się błotem  
na boisku pod hałdą, miałem łzy w oczach.

Wiem, miało być o Bogu.

Bóg, Dziecko, Wiara, Czyn

## *III. Zdania na wypadek*

### *Nie inaczej*

1  
Złuszczy się krajobraz razem z nami,  
niewiele ubędzie ciemnemu powietrzu,  
ale chyba jakieś arche pozostanie.

2  
Czas buduje rzeczy swe niedostrzegalnie;  
te ruiny są budowlą w toku,

Kondycja ludzka,  
Przemijanie

skrzącą się od znaczeń, westchnień  
zmarłych wczoraj mieszkańców Hellady.

3

Palce Losu zdrapią nas jak naklejkę,  
nie uszkadzając właściwego rdzenia,  
bo pozostanie chyba jakieś arche,

4

Tak jak z liścia na wietrze  
pozostaje szkielet sieć żył —  
widoma konstrukcja, co się przyoblecze  
w zieleń... cicho, znów niedostrzegalnie;

5

Czy ślepi krążymy w zaułkach planety?  
Bracie, nie inaczej.

\*\*\*

*dla Alka Radomskiego*

W pudełkach, w których mieszkam,  
jest dużo zielska.  
Skrzypią podłogi w pudełkach,  
w których mieszkam.

Pudełko podwórka; i ktoś tam nosi  
ciasne półbuty po mnie;  
pudełko tarasu, jestem ubogi,  
uboższy o dach nad głową.

Pudełko ulicy otwierane czule,  
zamykane z drżeniem —  
dziecięca twarz słońca zagłada  
do królika w sianie, podsuwa mu liść.

W pudełku, w którym śpię,  
są rośliny; najczęściej paprocie,  
skrzypy odcisnięte w węglu,  
jest pleśń od północnej strony

i mrowisko, co ogryza na kość.  
A tamto pudełko to starość,  
z pergaminu zsuwa się sznur  
*...rozwiń, rozwiń se*

ostrożnie przymierzając  
zmarszczki, brodę, żałość.  
W pudełku żyda na dnie  
to ci pozostało.

Starość

# Woda z pól

*Darkowi Sośnickiemu*

Podpełza zwątpienie, o pól tonu światła  
mniej pod latarnią wiersza; oszczędność energii,  
kuśtykanie frazy, o jedenastej cichnie szum  
maszyn, milkną drzewa, pękają dreny —  
woda z pól, z miedz. Surowy napój,  
który trzeba  
przebyć; gruda gliny w usta

# Requiem

Tu wszystkie gałęzie należą do zmarłych,  
machają nimi wytrwale na wietrze;  
czy wciąż w albumach tkwią ich młode oczy,  
nie wiem; pozostawili mundury,  
suknie ślubne, komunijne ubranka;  
nadzy wślizgują się między gałęzie;  
czy tam jest jakiś popas  
lub piknik u Boga, nie wiem;

nie mogę zawierzyć mitologiom,  
niezupełnie wierzę tylko w rozkład;  
wrócić na ziemię wiosną, bić deszczem,  
być jasnym pędem, gorzkim mleczem w żwirze.

Śmierć, Wiara, Kondycja  
ludzka, Przemijanie, Natura

# Wielki post

Wśliznął się w trumnę pejzażu ten szelest,  
malarstwo flamandzkie czy co do cholery.

Kot płacze na schodach wtulony  
w poduszkę marcowej śnieżycy, opery

na trzy, i już cztery: inflacja pór,  
miesiące, całego poczucia. Człowiek

budzi się w człowieku (pst, kurwa, kocie)  
z ręką w kanale, na pilocie

ciągłego czuwania: lepkie ślady, Vermeery,  
szumy, telepatia, higiena usteczek

nienawykłych do postug, do szukania związku.  
Powrót do źródeł, najęty jak kłamię —

poparzony, pojebany, w futro  
wsunięty jak w trumnę.

Kot

# Wielkanoc

„A nie ma jednej kawki w powietrzu,  
która by nie spała przez jedną noc życia  
w spokojnym gnieździe.  
Lecz o mnie Bóg zapomniał”.

J. Słowacki

To było w marcu we wtorek;  
zamarzło pod nogami grząskie oparcie  
dla paru przebiśniegów.  
Z pudła schodów wychodziły dźwięki,

rury jak żywe wiły się pod tynkiem.  
Pokrywała się grubą warstwą śniegu  
trawa zieleniejsza od wszystkiego.  
W górach tłoczyło się nowe powietrze,

by nazajutrz zasypać światłem podwórze.  
Trzaskały bramy, przelewała się rzeka,  
nic nie mogłem zmienić zapisany w księgach.  
„Chrystus chuj” wołali wysłannicy piekła.

## Zakwitnie kij w twojej ręce

Zakwitnie kij w twojej ręce tak będzie  
oddychaj pełną piersią oddychaj  
więcej wspomnień zabierzesz ze sobą  
świeże pachnące kretowiska  
wyrzucą z siebie krokusa łodyżkę  
śnieżyczki wychyną zza kamieni  
szlifowanych niegdyś przez potok  
już w płuca nabierz trochę ziemi  
i niech cię nie zaskoczą  
sroki goniące się po niebie  
obłoki skrzypiące na wietrze  
(jak blaszane wota w kapliczce  
bielonej ptasim łajnem)  
zakwitnie wszystko bez ciebie  
najwyższy wypuści cię z ręki  
i powie leć a nie obnoś się  
ze złamanym skrzydłem.

\*\*\*

że ptaki,  
że przelatują z nagich gałęzi jaśminu  
na szczyt domu, w którym pędzimy  
(przewracając się z jednego przebitego boku  
na drugi) żywot,

Natura, Kondycja ludzka

że bywają spłoszone,  
że niekiedy śpiewają (komu? czemu?) —  
nie jest powiedziane, że śpiewają  
nam, czekającym na nadejście  
(kogo? czego?) dopełniacza losu,

może śpiewają tym, którzy nie doczekali,  
może Panu Bogu w okno, w jego białe firany  
podwiązane różowym kordonkiem świtu;

że kogut,  
że pieje zaciekle w komórce sąsiada,  
pies szczeka, pękają pąki mimo naszej woli

i że to wszystko mówi coś i znaczy,  
bo jest zaznaczone  
w księdze naszych domysłów,

w Naturze.

## Tren

*Antoniemu Mackiewiczowi*

Przebiera palcami ciemność  
i pociera o pierścionek pełni  
zastawiony w lombardzie uschłych olch;  
miasteczka pełnią wartę tylko dla mnie,  
połyka je horyzont, chłodzi wiatr.

Kobieta drzemie, a spod jej nóg  
ucieka ziemia. Agresywny pot,  
ale nawet mi nie staje;  
robi się starzec ze mnie, powoli  
smakuję ten chleb, niosę trumnę,

ocieram się o sąsiedni grób.  
a potem przebieram palcami,  
sypiąc na twoją twarz  
kamyczki, muszelki, grudki. Ciemność  
dnia.

Kobieta, Mężczyzna,  
Pożądanie, Śmierć

## Ostatni wiersz dla matki

*światło rdzy  
kryjesz ty*

Rdza traw, ta rozpacz,  
pod bukami przepaść;

*przepaść rozpatrz  
z góry, przykłaśnij do echa.*

Cmentarz, Matka, Dziecko,  
Dorosłość, Śmierć, Strach

Tam przerzuca miasto  
zmarłych, stąd światło

na wzgórzach; rozrasta się  
cmentarz, rozpycha

jak nowotwór; grząskie pola  
równa spychacz,

potwór w snach dziecka;  
mamo, pamiętasz

mnie z tamtych przerażeń;  
iść na swój grób trzeba odważnie

## *Zdania na wypadek śmierci*

*E. i J. Soltyszcza*

Być ojcem i spokojnie rozmawiać z synem.  
Doprowadzić córki do miejsca, skąd same ogarną  
pozostałość życia.

Dorosłość, Śmierć

Być synem i spokojnie rozmawiać z ojcem przez ścianę  
z trawy, gliny, przez korzenie, kłącza.

Nie spodziewać się czegoś nadzwyczajnego,  
bo wszystko jest nadzwyczajne.

Groby, grzbiety fali, grzywy koni,  
kościany grzebień u twojej skroni.  
Sukienka matki, i twoja. Szmer  
spodni w szafie, jęk szuflad.

Błądzący oddech trafi na poetę lub szewca  
jak Boehme; pozostawi oddźwięk.

Już trzeba wierzyć w coś niezniszczalnego.

## *Głuchy czerwiec*

*Iwone i Antkowi*

„...żeby rzucać carmina w przestrzeń  
sakralnych jaskiń...”

*Cz. Miłosz*

Kaplice jak plectrum,  
co obsiada miedze  
i wydaje głuchy krzyk  
słyszany przez nielicznych;



przez nielicznych tak bardzo.  
Urodziłem się w okolicy pozbawionej  
katedr — luster wyższej wiary,  
pośród wzgórz kręcących się w kółko

nasiąkałem pustką, niedzielą  
bez znaczeń. I teraz nie słyszę,  
co w powietrzu drży  
i dlaczego; za moją głuchotę pomódl się

czytelny, jasny i wytrwały.

## Zapowiedź

To są przecież groby, mamrocze  
dziecko; *nie mów tak o górach*;  
niesiemy drabinę ku wyniosłej  
gruszy, jabłko w woskowińę  
chroni się przed mrozem;

to jest przecież cmentarz, spójrz,  
tato, w obłoki, szkielet  
goni szkielet i jeździec  
bez głowy; *góry (przez graby)*  
*zdrobniałe, zgrabiałe*;

parowozy zatraciły się  
w polach po osie, po rdzę.  
Za tobą głos ze stacji  
krzyżowej, ksiądz ma  
mikrofon; to jest przecież miasto

dochodzące z dołu.

Grób, Góry, Śmierć

## Ciepły grudzień

Ani i Jurkowi

*„jastrząb kwilił, co rozwścieczało psy.  
krzesło w rzece. kry”.*

Tu szedłem, a tam dosłownie  
leżałem pod brukiem, pod pianą liści  
bitą na asfalcie: oddech ziemi  
strofował mnie, naprowadzał —  
zaczynały się schody, korytarze.

Tak się leży, tak układa,  
wyrównuje oddechy ze wszech stron —  
w sobie. Tak się widzi kroki  
od spodu, przeczuwa podeszwy; podejrzanym  
wiatr. W zajezdni dużo flag.

Trochę szedłem, ale coraz bardziej  
obraz zachodził w głąb. Zachodziłem,  
zaszedłem, stoję nad otwartą  
myślą: w notatniku zaciskał się  
rząd, gwar brył. I sny.

Kręto, przestrzennie, lustrzanie.

## *Potrawy pośmiertne;*

ten olśniewający stół,  
którego będziecie się trzymać  
jak burty okrętu zapadającego się  
w tłustej zupie oceanu,

a ja wam będę machał jak szalony  
z bezludnej wyspy, która zaludni się szybko  
i któryś powie „Co się wściekasz”,  
i będzie się zacinał, jękał;

dopiero potem powiedzą mi,  
że to Bóg. Ale nie dojdzie do mnie nic,  
żadna wielkość, prawda czy poczucie,  
pustka rozdęta w piersiach, lśniąca  
na krawędziach, to wszystko

(koniec do przełknięcia jak olów,  
rtęć do wypicia)

## *IV. Pod twoją obronę*

\*\*\*

Rożen, z którego uciekleś,  
niebieski ptaku,  
rożen słońca przebijający mgłę,  
i dumny napis „źródło Kaczawy”,

wszystko to jest,  
bo dożyłem kolejnej odsłony, no cud  
(miało być „cóż”, brnę w egzaltację),

ta sama trawa, ten sam zgrzyt kości  
muflonów na ścieżce,  
która zmieniła bieg z potokiem;

co jeszcze słonko widziało?  
martwe pola, z których wstawał śnieg  
i szedł na leże do Ojca (za rok wyciąg-

Śmierć, Zaświaty, Okręt

niemy go z pudełek na bombki),  
w wywijające się piąstki, pozlepiane palce  
roślin chwycił się mroźny dzień;

było to w tych dniach, niebieski ptaku,  
kiedy gorszy rodzaj ludzi nie przeżywał  
nadejścia wiosny, śmierci papieża,  
nie mógł znaleźć kanału.

## Rondo

*Nie miał żadnej gałęzi a śpiewał*

Czułem pustkę za całe tysiąclecia  
za tych co przede mną i po mnie  
o takich ustach mówią gorzkie  
w pokoju hotelowym jest telewizor

wyłącz fonie poruszają się usta  
przesuwają się cienie wymachują rękami  
kręcą jakiś film z życia  
ciebie to już nie dotyczy

ty umarłeś wcześniej za nas  
nieznany ty poległy bohaterski  
róża niesiona przez obsługę  
dalej będzie pachnieć i dalej

spotkamy się za milion gestów i poruszeń  
coś musi się z nami stać zgorzknieć  
miniemy się w hotelu na schodach  
i nie będzie miał gałęzi będzie śpiewał

słowik w Kutnie.

## Bez tytułu

Kiedy jedziesz, pchając widmo samego siebie  
w pokrzywy, lopiany  
i coś szamocze się w trawie aż po rdest,  
ruch szprych jak metronom, i płoszy się rytm

wróbel, jaszczurka, szczur?

Kiedy przegrywasz, spóźniasz się na start,  
potem tylko krążysz w formie opowieści,  
zanurzasz się w trzecią burzę tego dnia  
i suchy jest tylko liść nerwów, i spada na czoło

wróbel, jaszczurka, szczur?

(Kiedy wreszcie przyjdą spieniężyć dom,  
w którym czekasz na „lepszą” przyszłość,

podejdz do okna, rozlóz ramiona,  
wgarnij w siebie świat, jaki jest,

wróbel, jaszczurka, szczur?)

## *Wiersz dla zmotoryzowanych*

Tiry smutne jak konie,  
z opuszczonymi głowami  
na poboczach szos,

dolewają im coś, donoszą  
akumulator w brudnej folii  
(jak obrok),

tu urywa opowieść, swoje patataj  
przenosi do następnej zwrotki,  
zwraca się w stronę publiczności  
zatartej na obrazku, ukrytej,

też ma mokre podwozie  
i czeka cierpliwie na ssanie,

został mu tytko jeden cylinder,  
trzyma się go jak tonący,  
kuśtyka do warsztatu boso;  
tam się wszyscy spotkamy przy ogniu,  
Hefajstos francuzem wskaże napis, porządek,

## *Pod twoją obronę*

*Cezaremu Domarusowi*

Broń się przed uderzeniem głową.  
Zadbaj o formę odparowania.  
To, co z ciebie zostanie,  
pokażą w telewizji.

Reszta zostanie w domu, na prowincji,  
unosząc kieliszek coraz wyżej —  
„niech mu ziemia lekką będzie” powie  
i wzniesie toast za tych, co pod ziemią  
na sargassowym morzu, w zawieszistej zupie —  
występują gorliwie w postpunkowej trupie.

Broń się przed uderzeniem głową,  
uderzaj wątpliwie, muskaj  
nerwem, mięśniem i powieką,  
chodzi o wrażenia; co wymyśli głowa,  
niech się w cień, smugę cienia schowa.

Pokazywali pana w telewizji, dziecko  
powie: miał pan przyszyte szelki  
i wyglądał ładnie. Te różne kawałki  
krążą, składając poetę

z oddzielności, z tego, co nie ustaje —  
szuka się cierpliwie.

Tu przewrotna lista: usterki  
tworzą mapę rzek niewielkich,  
ospałość w poziomicach  
(rzuca się w oczy tatuowana kostnica) —

na wzgórzach świeci próchno  
z triangulacyjnych wież.

Broń się przed uderzeniem głową,  
zadbać o formę można też:  
elegancko nadstaw kolano.  
Odpryski kości chcą zostać, zostaną;  
włącz telewizor, sprawdź, jak się utrwała  
demokratycznie wyłoniona fala.

JACEK GUTOROW

## *Karol Maliszewski: Być pędem wiersza*

Istnieje kilku Maliszewskich. Najpierw spieszny przechodzień pchany nieokreśloną tęsknotą za nowymi, fantastycznymi miejscami: *Jadę (blady jak papier/ na którym notują się mijane/ wieś, miasteczka: wszystko)*. Potem niespokojny duch, który rozpaczliwie poszukuje sankcji własnego istnienia i chce zatracić się w wierszu — jakże często wierszu dramatycznym, *rozczochranym*, szukającym ujścia w krzyku. Wreszcie uważny obserwator rzeczywistości, który potrafi oddać scenę za pomocą krótkiej, wyrazistej metafory — jak w wierszu *Góry, gorączka*, gdzie zwraca uwagę celny obraz sudeckiego Pradziada porośniętego *ciupagami modrzewi*. Jest też poeta odnajdujący siebie pośród innych poetów (tych z podręcznika literatury, ale i tych spotkanych *w drodze*), którzy nierzadko stanowią inspirację do kolejnych wierszy i pojawiają się w nich na specjalnych prawach. O rolach tych krytycy zdążyli już to i owo napisać — z ich tekstów wyłania się obraz poezji otwartej, różnorodnej i wieloznacznej.

Jednak mnie interesuje jeszcze jedna twarz noworudzkiego poety. W jego dorobku odnajduję teksty, których urok jest początkowo niezrozumiały i polega na osobliwym zawieszeniu głosu, kiedy Maliszewski zdaje się nie wiedzieć, kim jest, i pozwala słowom przebiegać przez scenę wiersza. Być może chodzi tu o spiętrzenie doznań i doświadczeń tak wielkie, że wyważa język z zawiasów i pozwala słowom składać się na nowo, w odmiennych, nieprzewidywanych porządkach? A może chodzi o świadomą próbę wiersza nieoswojonego, czyniącego z poety kogoś obcego sobie samemu? Bo w wielu wierszach Maliszewski radykalizuje poetykę oderwanego spojrzenia tak dalece, że wśród nagromadzonych obrazów znika ślad jakiegokolwiek tożsamości:

byłem już coraz  
bliżej, patrzyłem na obraz  
rozedrgany pędem  
jak stawał się doskonałe,  
nie wiadomo jak

uspokojony i pogodzony  
z najwyższym słońcem  
w chmurach, z obłym stokiem  
w lustrze burego jeziora,  
z jakimkolwiek  
sobą

(Góry, gorączka)

Takie cytaty można mnożyć. W wierszu *Wygasić silnik, zatrzymać pęd* (z ostatniego jak dotąd tomu poety *Inwazja i inne wiersze*): *gdzieś urywają się telefony, blokują łącza...// słyszę szum, jestem w środku*. Nagle „zablokowane łącza” pozwalają Maliszewskiemu mówić wierszem zradykalizowanym, skondensowanym tak bardzo, że pękają w nim szwy grammatyczne i frazeologiczne. Skądinąd nie dziwią mnie odwołania do Celana (jeden z tekstów nosi nawet tytuł *Jestem w wierszu Celana*) — w swoich najlepszych momentach Maliszewski osiąga podobne efekty: nagły skrót językowej perspektywy, nieoczekiwane współbrzmienia przypadkowych dźwięków i słów. Dzieje się tak zwłaszcza w wierszach z ostatnich tomów, będących zapisem nader interesującej ewolucji poetyckiej — autor *Inwazji* zmierza ku mowie fragmentarycznej, rozproszonej, pozostającej jednak mową ukierunkowaną na czytelnika i unieruchamiającą, choćby w rozproszeniu, jałowy dryf spostrzeżeń i doświadczeń.

Przy okazji: nie przekonuje mnie fraza o „poezji prowincjonalnej”. Skądże znowu. Jest raczej tak, że Maliszewski problematyzuje opozycję centrum i peryferii — sam akt poetycki staje się aktem założycielskim, dzięki któremu rozróżnienie na punkt centralny i jego peryferie nabiera cech fikcyjnych. Przypomina to trochę Derridiańskie „pisanie na dwie ręce”: jedna ręka pisze poezję prowincji, druga odsłania retorykę ukrytą w myśleniu o prowincji jako „prowincji” i centrum jako „centrum”. W rezultacie wiersze rozsadzają kulturalną i medialną topografię miejsc, do których się odnoszą, a jednocześnie proponują poezję „jedynego miejsca” — miejsca „tutaj i teraz”, a zarazem „dokądkolwiek i kiedykolwiek”, miejsca ujawniającego swoją centralność i peryferyjność.

Być może strategia ta nie ma charakteru świadomego; ale też związki poety z konkretnymi przestrzeniami i miejscowościami (na przykład Nową Rudą, Górami Sowimi, Sudetami, Dolnym Śląskiem) są w dużym stopniu podświadome, instynktowne. Maliszewski zawiera instynktom, zwłaszcza tym związanym z wiązaniem słów i układaniem fraz, i zdaje się na ich przewodnictwo. Konkretnie wiersze świadczą o tym, że tego rodzaju ufnosc popłaca — dotyczy to nie tylko stosunku poety do własnych tekstów, ale również do potencjalnych czytelników.

Josif Brodski zwykł powoływać się na słowa japońskiego pisarza Akutagawy Ryunosuke: *Ja nie mam żadnych zasad, tylko nerwy*. Sentencja ta dobrze, moim zdaniem, oddaje charakter pisarstwa Karola Maliszewskiego (myślę tu również o jego tekstach krytycznych). Nie sposób chyba mówić o jakimkolwiek projekcie poetyckim czy estetycznym. Być może wierszom tym najbliższym do ideału o’haryzmu: „robię to, robię tamto”. Ale czy istotnie można tu mówić o jakimś poetyckim ideale? Czy poeta — obserwator nie jest zdany na łaskę przypadku i okoliczności? Niewątpliwie da się też zauważyć u Maliszewskiego tęsknoty i gesty charakterystyczne dla poetów konfesyjnych — chodzi mi tu przede wszystkim o przekonanie o terapeutycznym i pedagogicznym wymiarze poezji. Nie wszystkim musi się to oczywiście podobać, ale to ważny moment. Sporo w tych tekstach elementów nawiązujących do tradycji ekspresjonizmu; czasami autor *Inwazji* traktuje ją nazbyt dosłownie, jednak nigdy nie przekracza granicy dobrego smaku — sądzę, że pomaga mu w tym poetycki zmysł słowa i charakteryzujące każdego dobrego poetę poczucie obowiązku wobec języka.

Czy dokonuje się tu spław poetycki? Niewątpliwie. Słowa gonią słowa, frazy potykają się o siebie i na ułamek sekundy jaśnieją niespodziewanym blaskiem, a wiersze wymykają się z rąk. Nie oczekujemy łuny nad zatoką. To są naprawdę „zdania na wypadek”: zdania wypadające z obiegu, posiadające własną trajektorię. Zdania na krótkim oddechu — ale mierzone miarą konkretnej, niepowtarzalnej egzystencji. Domyślam się zresztą, że sam

Maliszewski — jak wiadomo, znakomity czytelnik wierszy innych poetów i ich niestrudzony komentator — chętnie pozbyłby się krytycznego balastu, który, czy tego chcemy czy nie, obciąża każdą lekturę i sprowadza ją do banalnego ćwiczenia interpretacyjnego. Pozostaje obstawać przy samych wierszach, ich melodii i rytmie, niekończących się targach z materią opornego słowa. Bo oprócz spławu jest też opór. Z wiersza *Inwazja: Poeta się pierdoli, rwie, stwarza/ problemy językowe, podmienia/ znaczenia, podmywa dawno wykrystalizowane/ pojęcia, przedstawia minerały akcentów...* Miłej lektury.

*Opole, grudzień 2006*

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest udostępniony na licencji *Licencja Wolnej Sztuki 1.3*.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/maliszewski-zdania-na-wypadek/>

Tekst opracowany na podstawie: Karol Maliszewski, *Zdania na wypadek*. Wiersze wybrane, red. Radosław Wiśniewski, Klub Integracji Twórczych Stowarzyszenie Żywych Poetów, Brzeg 2007.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec, Aleksandra Sekuła.

ISBN 978-83-288-5880-0

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).